

Teksty Drugie 1990, 1 , s. 146-161



# O Bibliotekach

Andrzej Dobosz

# Autobiografia

*Andrzej Dobosz*

## O Bibliotekach

W Bibliotece Królewskiej w Kopenhadze po trawnikach wewnętrznych ogrodu, do którego wychodziłem przerywając lektury, spacerują mewy.

Wchodząc do madryckiej Biblioteca Nacional, jako czytelnik *Vademecum do badań nad historią XIX i XX wieku* Ireneusza Ihnatowicza, jeszcze w Warszawie przed wyruszeniem w podróż wiedziałem, ile trzeba złożyć fotografii i jakich dopełnić formalności, by uzyskać kartę wstępu. W głównym hallu mijałem siedzącego umundurowanego policjanta z pistoletem maszynowym na kolanach, było to już po restytucji monarchii.

Biblioteka Uniwersytecka w Amsterdamie czynna jest do północy. Gdy pojawiłem się w niej, kończąc wędrówki po mieście przed dziesiątą wieczorem, spotykałem wielu czytelników. Zawsze też znajdowałem wolne miejsce. Rano jest otwarta od pół do dziesiątej.

Wielkie biblioteki w Kopenhadze, Madrycie, Amsterdamie funkcjonują tak jak te w Warszawie, w których rozpoczynałem moje doświadczenia czytelnika. Po lekturze katalogu, a starałem się przeczytać w całości katalogi poważnych bibliotek — i w wypadku BUW-u i Narodowej zamiar ten zrealizowałem — tak więc po mniej więcej dwóch godzinach lektury katalogu wypisywałem rewers. Gdy rozpoczynałem mój żywot czytelnika, długopisy nie były jeszcze artykułem powszechnego użytku, a złote wieczne pióra stanowiły nieosiągalny luksus. W BUW-ie na użytek czytelników wystawione były szkolne kałamarze i leżały zwykłe pióra z okrągłymi

stalówkami. Zdarzało się, że zanim wypisałem czytelnie rewers, miałem powalane atramentem palce i bardzo mnie peszyły dyżurne bibliotekarki, którym składałem moje zamówienia. W późnych latach pięćdziesiątych czułem się w tych miejscach na tyle zadomowiony, że widząc kiedyś, jak urzędujące panie usiłują wypędzić z czytelni Biblioteki Narodowej, mieszczącej się wtedy w gmachu SGPiS-u, siwego i brodatego Tadeusza Peipera, odmawiającego zdjęcia palta i długiego szala, którym był owinięty, potrafiłem im wyjaśnić, kim jest ten pan i pohamować ich umiłowanie porządku. Wkrótce potem Stefan Kisielewski opowiadał mi o spacerze, podczas którego Peiper pokazywał mu w Warszawie domy u m y ś l - n i e źle zbudowane. Gdy dziś przypominam sobie ton, jakim to Kisiel opowiadał, myślę, że może nawet i on wtedy podzielał przypuszczenie, że to, co się dzieje wokół nas, jest rezultatem głupoty, niewiedzy, a nie świadomego zamysłu. Ja sam rozstałem się z tym złudzeniem, gdy zburzono ocalałą w czasie wojny kamienicę architekta Tołwińskiego na ulicy Służewskiej pod numerem czwartym, opisaną przez Mieczysława Wallisa w książce o secesji, dom dzieciństwa i młodości Witolda Gombrowicza. Ulubiony krawiec warszawskich architektów, p. Wiktor Świętek, przedłużył byt tego domu, do którego pielgrzymowałem, o kilkanaście miesięcy, odmawiając przyjęcia kilku kolejnych mieszkań. W końcu jednak Józef Kępa i jego wspólnik Jerzy Majewski, zwani gospodarzami stolicy, zrealizowali swój plan.

Po oddaniu rewersu czekało się na przyniesienie książek z magazynu. Mogło to trwać 20 minut, pół godziny — w Amsterdamie i Kopenhadze ten czas bywa krótszy. Kiedyś w Bibliotece Publicznej na Koszykowej zamówiłem książkę dra Wiktora Szokalskiego. Autor przed rokiem 1830 studiował medycynę w Warszawie, brał udział w powstaniu, kontynuował studia w Giessen, Heidelbergu i Würzburgu. W roku 1839 został docentem oftalmologii w Paryżu, w roku 1848 był wysłannikiem ks. Adama Czartoryskiego do Parlamentu Frankfurckiego. W 1853 osiadł na stałe w Warszawie, a nieco później wydał w Krakowie podręcznik psychiatrii na użytek szlachty. Autor opowiada w przedmowie, że ilekroć pojawia się w karnawale na balu, zaraz przystępuje doń jakiś obywatel z prowincji i korzystając z okazji usiłuje zasięgnąć rady pana konsyliarza w związku z przypadkiem fiksacji kuzyna czy sąsiada. By na przyszłość uwolnić się od podobnych rozmów, dr Szokalski przystępnie opisał najczęstsze przypadki zaburzeń. Gdy już nazbyt długo nie przynoszono mi *Fantazyjnych objawów zmysłowych*, podszedłem do stolika dyżurnej. Pani bibliotekarka właśnie przeglądała moją książkę. Oddała mi ją, pytając z politowaniem: czy nie umiał pan znaleźć czegoś nowszego na ten temat?

Moje postanowienie, by przeczytać wszystkie książki wydane po polsku między rokiem 1815 a 1855, wywoływało przez pewien czas niezbyt przychyłne reakcje pracowników bibliotek, przynoszących z magazynów tomy nieco zakurzone, czasem jeszcze nie rozcięte od chwili wydania w roku 1840, niekiedy — w Bibliotece Narodowej — z przyklejoną kartką z trupią główką, oznaczającą, że książka była konserwowana środkami chemicznie trującymi; dołączona instrukcja odradzała wkładanie podczas lektury palca do ust i zalecała kąpiel po jej zakończeniu. W końcu jednak bibliotekarze i magazynierzy czytali tytuły książek, które przechodziły przez ich ręce, i doznałem w bibliotekach wielu objawów szczególnej życzliwości.

Czasem zresztą nie wystarczało złożenie samego rewersu. Z początkiem roku 1954 Jan Kott wystosował do Dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej pismką z prośbą o udostępnienie słuchaczom jego seminarium: Jerzemu Timoszewiczowi i mnie pism dwudziestolecia międzywojennego. Wcześniej, zaraz po przyjęciu na polonistykę, zwróciłem się do Kurii Metropolitalnej z prośbą o zgodę na lekturę książek z indeksu watykańskiego i bez żadnych trudności jesienią 1952 uzyskałem takie zezwolenie ks. arcybiskupa warszawskiego, kardynała prymasa. Parę lat później w „Tygodniku Powszechnym” (prawdziwym) przeczytałem z entuzjazmem wielki artykuł Hansa Kunga, wtedy jeszcze księdza, przeciw instytucji indeksu. Wreszcie w r. 1966 papież Paweł VI zniósł indeks.

Gdy już z Timoszewiczem przeczytaliśmy komplet „Wiadomości Literackich”, spróbowaliśmy prócz „Przeglądu Współczesnego”, „Ateneum” Napierskiego, „Marchołta”, „Drogi” i „Verbum”, posługując się naszymi papierkami, zamawiać pisma z lat 1945-1949, również objęte urzędowym zakazem udostępniania. W polskich bibliotekach restrykcyjne zarządzenia nie były nigdy zbyt ściśle przestrzegane. Przeczytałem, niedawno ogłoszone przez Andrzeja Biernackiego w „Znaku” nr 412, sprawozdanie Władysława Pocięchy z działalności w Bibliotece Jagiellońskiej w latach niemieckiej okupacji. Nazywała się wtedy *Staatsbibliothek*, wolno z niej było korzystać na podstawie specjalnego zezwolenia władz niemieckich, nieosiągalnego dla polskich uczonych, a wstępu strzegła niemiecka warta. Mimo to w czytelnicy 70% stanowili nielegalni czytelnicy, polski wicedyrektor sprowadzał na fałszywe niemieckie nazwiska książki naukowe z zagranicznych bibliotek na koszt Niemiec dla polskich pracowników naukowych, a w zbiorach kompletowano tajną prasę. Podczas tej lektury miałem wrażenie, że bibliotekarzy podobnej formacji duchowej zdążyłem jeszcze

spotkać w moim życiu. Licho wynagradzani, wykonywali jednak swoją pracę w sposób odróżniający ich od innych pracowników państwowych. Może tylko jedno wspomnienie maści ten obraz. W latach sześćdziesiątych byłem na wernisażu wystawy bibliofilskiej Towarzystwa Przyjaciół Książki w Pałacu Krasińskich w Warszawie, gdzie mieszczą się zbiory specjalne Biblioteki Narodowej. Swe kolekcje, a raczej ich próbki, prezentowali między innymi: Władysław Bartoszewski, Andrzej Biernacki, prof. Mieczysław Brahmer, Józef Chudek, Juliusz Wiktor Gomulicki, Waław Zawadzki. W pewnej chwili pochylonych nad gablotami i pogrążonych w rozmowach bibliofilów zaczął rozpędzać z nieprzyjaznym pohukiwaniem, niemal rozdając na prawo i lewo kulaki, z gorliwością i wprawą stójkowego, niewysoki lecz solidnie zbudowany mężczyzna. To dyrektor Biblioteki Narodowej torował wygodne przejście dla wicemarszałka sejmu Zenona Kliszki, który zechciał swoją obecnością zaszczyścić wystawę.

— Gdzieś w roku 1955 jeden z redaktorów „Nowej Kultury”, znając moje zainteresowanie Gombrowiczem, wpadł na pomysł wprowadzenia pisarza do POLSKI LUDOWEJ. Zaproponowano mi, żebym przygotował wybór obszernych fragmentów *Dziennika*, możliwych do strawienia i opatrzył je komentarzem życzliwym a zarazem pouczającym Gombrowicza tam, gdzie się myli. Zaopatrzono mnie w papiery dające wstęp do czytelnicy prasy zagranicznej w Domu Stowarzyszenia Dziennikarzy. Była to sala sprawiająca wrażenie wnętrza kasy pancernej; pomalowane na biało metalowe drzwi pełne były sztab do ryglowania, okna zakratowane. Siedzący obok mnie z cudzoziemska ubrani panowie kopiowali „Wall Street Journal”. Czytali też inne gazety, ale cytowanie i wyszydzanie „Wall Street Journal” należało do szczególnego szyku ówczesnej prasy. Nawet „Twórczość” miała specjalną rubrykę temu poświęconą. W „Kulturze” czytałem wszystko, poczynając od Juliusza Mieroszewskiego, a *Dzienniki* po prostu sobie przepisywałem.

Wcześniej ze zbiorowej lektury znałem *Zniewolony umysł*. W pokoju będącym także w znacznej mierze biblioteką, okno zasłaniano kocem i Jan Józef Lipski przez projektor do bajek Jana Tomasza wyświetlał na ścianie zmikrofilmowane stronicy książki. W tych seansach, oprócz gospodarza i pani Maruty, jego żony, brali udział Witold Jedlicki, starszy brat Jerzego, późniejszy autor książeczki o Klubie Krzywego Koła w Bibliotece „Kultury”, socjologowie Andrzej Rażniewski i Zygmunt Skórzyński, Czesław Czapów i Stanisław Manturzewski. Od czasu do czasu któryś z nich miewał na krótko pojedynczy numer „Kultury”. Można go było wtedy pożyczyć na jedną noc.

Gdy przepisałem już *Dzienniki*, łącznie z ostatnim, jaki się wtedy ukazał,

a *Notatniki nieśpiesznego przechodnia* umiałem już prawie na pamięć, rozumiałem, że czas przestać korzystać z przywileju. Dobry Pan Bóg sprawił, że nie miałem zamiaru pouczać Gombrowicza.

W zagranicznych bibliotekach mniej już może szukałem bardzo rzadkich polskich tytułów. W Kopenhadze i Amsterdamie cieszyła mnie myśl, że gdybym tam został na długo, mógłbym korzystać zarówno z opisów wędrówek zesłańców syberyjskich: Rufina Piotrowskiego czy Ewy Felińskiej, jak i z siedmiu tomów Kucharzewskiego, o których jednotomowy skrót, dokonany u schyłku życia przez autora, daje najbardziej mylne i najgorsze wyobrażenie. W Madrycie też można by się z powodzeniem zajmować polskim wiekiem XIX-tym. Natomiast autorzy współcześni ograniczyli się do wydawanych przez PAX w latach pięćdziesiątych. Ani Miłosza, ani Ważyka, lecz młodziutki Antoni Podsiad, Nik Rostworowski, Zdzisław Łączkowski. Proza — to Janina Kolendo, Dobraczyński, Umiński, lecz nie Władysław, autor *Flibustierów*, a Zdzisław. I w każdej z tych bibliotek ukłucie serca: gdy zajrzeć pod hasło Warszawa — odsyłacz — patrz: Pakt Warszawski.

Gdy po raz pierwszy w roku 1977 znalazłem się w bibliotece Centrum Pompidou w Paryżu, ogarnęło mnie zdumienie i popłoch. Ogromna hala, czy raczej dwie hale, gdyż jest to na dwu piętrach, 2-gim i 3-cim tego gmachu. Wchodzi się na piętrze wyższym, gdzie jest szatnia, dział bibliografii i część dyscyplin ścisłych. Do działu literatury, filozofii, religii i sztuki zjeżdża się znów ruchomymi schodami piętro niżej. W tej hali jest ciągle w ruchu może setka, może parę setek osób, jak na wielkim dworcu kolejowym; połowa to czytelnicy, połowa zwiedzający. Kilkadziesiąt metrów regałów z książkami. Następne kilkadziesiąt zajmują niskie stoły i wygodne krzesła z metalu i skóry. I dalej znowu regały i stoły. Łatwe do odnalezienia stoliki personelu. Wysoko nad regałami widoczne tablice z informacjami. Książki wyszukuje się i bierze samemu z półki. Niektórzy przeglądają je, czy nawet czytają, opierając się o wolne miejsce na półce. Do wybranego przez siebie stołu można znieść ile się chce książek. Rzadko jednak widywałem więcej niż osiem. Zdarza się też tylko jedna. Pod ścianą siedzą na podłodze młodzi ludzie i przeglądają komiksy. Gdy już wybrałem sobie parę tomów i miejsce, nic nie zakłócało skupienia. Podłoga całkowicie głuży hałas kroków, a może i rozmów. Do Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie często na kwadrans przed zamknięciem wpadał Andrzej Biernacki, by sprawdzić jeszcze jakiś szczegół. Odgłos jego kroków po posadzce odrywał mnie od lektury, zapowiadając zresztą przyjemność mogącego nastąpić spaceru. Tu kończę rozdział i podnosząc na chwilę głowę widzę dookoła spacerujące tłumy, których nie słyszałem

i o których istnieniu zapomniałem. Na dodatek niemal w każdym miejscu tej podłogi można włączyć jeszcze jakieś urządzenie: kopiarkę, lampę, czy telefaks. Kopierek jest tu wiele i w cenie dwukrotnie niższej niż w mieście można sobie odbić stroniczkę, która nas zachwyciła, albo na przykład ten sam fragment *Tristrama Shandy* po francusku, hiszpańsku, holendersku i niemiecku, który wezmę ze sobą na wakacje razem z oryginałem i polskim przekładem Krystyny Tarnowskiej, by poznawać języki metodą profesora teatrologii z Bari, dra Jerzego Pomianowskiego – tłumacza Czechowa, Babla i Sołżenicyna na polski, a ks. Karola Wojtyły na włoski. Czasem powątpiewam, czy jest to szczególnie skuteczna metoda. Dostarcza jednak wielu przyjemności oraz informacji godnych zastanowienia. Już w podtytule *Tristrama* słowo *gentleman* brzmi po hiszpańsku *caballero*, a tekst w tym języku jest niemal dwukrotnie dłuższy niż angielski.

Tak więc stałem się entuzjastą tej biblioteki. Czy na długo? Jako cudzoziemiec, nawet mając za sobą od dawna znajomość wszystkich przekładów Boya, jeszcze przez lata znajdę tu dla siebie lektury francuskie i angielskie. W Polsce czułbym się jednak obco w bibliotece zawierającej jedynie książki wydane po r. 1975 czy nawet 1945, choćby zgromadzono je tam wszystkie. Jest tu jeszcze dość miejsca i na półkach, i przy stołach. Ale nowe książki przybywają w takim tempie, że zaczniesz dla nich brakować miejsca. Wtedy, by zwolnić półki, „książki rzadko czytane będą gromadzone w tworzonych specjalnie centralnych magazynach usytuowanych w różnych regionach kraju”, zapowiadał już dziesięć lat temu Zbigniew Cudnik w interesującym studium budownictwa bibliotek *Skarbnice Wiedzy* – Ossolineum 1980. Kryterium będzie proste: książka pokryta warstewką kurzu musi ustąpić miejsca świeżo wydrukowanej. Nie umiem sobie wyobrazić Jerzego Stempowskiego chodzącego do biblioteki po to, by czytać to tylko, co czytają wszyscy. W Centrum Pompidou można jednak przypomnieć sobie najbardziej tradycyjną bibliotekę, czytując drukowany w formie książki wielo-, wielotomowy katalog biblioteki British Museum wraz z wydawanymi co 10 lat uzupełnieniami.

Można przypuścić, że czytelnik nawykły do obcowania z porządnymi bibliografiami zdoła dotrzeć do książek zesłanych na pokutę w prowincjonalnych magazynach. Dla tego muszą istnieć takie bibliografie. Drugie wydanie *Bibliografii Polskiej XIX Stulecia* Estreichera, notujące niemal przy każdej pozycji, w jakich bibliotekach krajowych można ją znaleźć, jest nieocenioną pomocą. Tyle, że po 30 latach przedsięwzięcia jesteśmy na początku litery „K”. Zamierzona kontynuacja dzieła Estreicherów, *Bibliografia Polska 1901-1939* Biblioteki Narodowej pod redakcją Janiny

Wilgat, zaprojektowana jest na 20 tomów. Przedmowa do tomu pierwszego („*B.P. 1901-1939*, której pierwszy tom oddaje Biblioteka Narodowa do rąk czytelnika...”) nosi datę: listopad 1977. Tom ten oddano do składania 17 grudnia 1982. Podpisano do druku w maju 1986. Druk ukończono już w październiku 1986.

Zasobna biblioteka Centrum Pompidou w jednym przynajmniej dziale odznacza się komicznym ubóstwem. Największą książką polską są *Teatralia Kaliskie* Stanisława Kaszyńskiego, str. 1004 + ikonografia – Wyd. Łódzkie 1972. Są też dwa tomy krytycznego wydania *Wizerunku* Reja i trzy pierwsze tomy dzieł wszystkich Mickiewicza pod red. Konrada Górskiego. *Pan Tadeusz* w wydaniu BN. *Balladyna*. *Maria Stuart* po rosyjsku, ale w przekładzie Borysa Pasternaka. Jean Bourrilly – *La jeunesse de Jules Slowacki*. *Apelacja* Andrzejewskiego, Janusz Przymanowski cywilny i wojskowy, trzy tomy francuskich przekładów Adolfa Rudnickiego, tom Miłosza. Wiersze Włodzimierza Słobodnika wydane w r. 1980. Sporo przekładów Witkacego, *Ordynat Michorowski*, wiele książek Haliny Auderskiej z dedykacjami dla gmachu. I jeszcze ze trzy gramatyki. To chyba niemal wszystko. Na dodatek moja próba przypomnienia sobie twórczości Auderskiej, zakończona na lekturze dedykacji i pierwszego zdania: „Dziki kaczkę odleciały na zachód”, nadała jej dziełom wygląd używanych, co może przedłużyć ich pobyt na tej półce o kilkanaście lat.

Ilekcroć obcuje z katalogiem czy bibliografią mój liberalizm jest bezgraniczny. Każda książka powinna być zarejestrowana z jednakową starannością. Im bibliografia jest bardziej kompletna, tym jest doskonalsza. Wybierając książki dla siebie, gotów jestem przyznać innym prawo dokonywania całkiem odmiennych wyborów. Gdy stoję przed półką, tak jak przed żywym człowiekiem, wpadam czasem w złość. Pytam, kto tu postawił tę głupią książkę? Teraz zdałem sobie sprawę, że mój liberalizm jest proporcjonalny do wielkości biblioteki. Przy czterdziestu książkach nie mogę znieść, gdy dwadzieścia jest bezwartościowych. Przy stu tysiącach tomów myślę, że byłoby cudownie, gdyby aż dwadzieścia tysięcy było wspaniałych.